

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.



Pałac w Łazienkach.

K O R A B I E.

Przez czarne fale, wzdęte burzą,
płyńcie korabi błędnych rząd;
żeglarze w czcnych się walkach nużą,
płynąc na ślepo w rok sinawy;
za drogowskazy często służą
im potrzaskane przedtem nawy,
które na rafy zawiódł błąd...

Czasem ogarnia zniechęcenie
serca żeglarzy, jak sen świat;
przeto szaleją, jak płomienie,
albo szukają zgonu w toni;
lecz częściej każdy z tem się godzi,
że nigdy brzeg się nie wyłoni,
ani złocisty słońca kwiat...

I czasem widzą, że gdzieś wschodzi
jutrznia różana pośród mórz;
widzą Piotrowej żagle Łodzi,
jak płyńcie równym, pewnym szlakiem;
widzą Sternika, jak dowodzi,
jak zażegna Krzyża znakiem
najokropniejsze z pośród burz...

Więc jedni dyszą dziką złością,
drudzy zaś czują w sercach cześć
i, tknięci Łaską i Światłością,
wytrwale k'Łodzi Piotra dążą;
w Łodzi przyjmują ich z radością,
serca miłości węzłem wiążą,
by przez nią myśl ich k'Prawdzie wznieść...

I tako w noc korabie płyną,
i tak ku Jaśni dąży Łódź;
korabie często w falach giną,
Łodzi zaś zmóźdz nie mogą burze:
płynąc w dal, noc rozjaśnia siną;
choć tysiąc gromów czyha w chmurze,
w Niej się bezpiecznym można czuć!

A.

Natura Japończyków.

(Według Juljana Adolfa Święcickiego).

Niepodobna zaprzeczyć słowom Elizeusza Reclus, który twierdzi, że Japonja jest jednym z najciekawszych krajów z powodu swej natury, swych mieszkańców, swojej historii, a nadewszystko z powodu faktów, jakich obecnie jest widownią. Ze wszystkich narodów, żyjących poza Europą, Nowym Światem i Australją, jedni tylko Japończycy przyjęli cywilizację Zachodu całkowicie i oni jedni starają się przyswoić sobie wszystkie jej zdobycze moralne i materialne. Swobodni politycznie i religijnie, działają nie pod przymusem, lecz z własnej woli, jako uczniowie chętni wkraczają w świat europejski żeby jego idee i obyczaje obrócić na swój pożytek. Kiedy Chińczycy, dumni ze swej cywilizacji starożytnej, przeświadczeni o swoich siłach, a niechętni wszelkiej obczyźnie, tylko pod naciskiem wypadków wpuszczają do państwa Niebieskiego promienie światła z Zachodu, Japończycy z zapałem iście młodzieńczym przekształcają się ciągle w Europejczyków. To też bez względu na nieuniknioną w takich razach powierzchowność gwałtownie przeszczepianej kultury obcej, przyznać trzeba, że Japonja należy już do grupy narodów, cieszących się tak zwaną cywilizacją zachodnią czyli aryjską, tak pod względem wiadomości naukowych jak i przemysłu. Położenie geograficzne Japonji nadaje szczególną ważność jej dzisiejszemu przekształceniu. Leżąc na połowie drogi od San Francisco do Londynu przez Ocean Spokojny i Rosję, uzupełnia w półkuli północnej grupę krajów cywilizacji europejskiej. Łączy Wschód z Zachodem, a przez morze rozporządza wszystkimi drogami, które prowadzą ku wyspom malajskim do Australji, Indo-Chin, oraz okolic nadbrzeżnych oceanu Spokojnego i morza Indyjskiego. Wreszcie ludność Japonji jest dość znaczna, i dostatecznie przemysłowa, żeby mogła odegrać szybko poważną rolę w historii handlu i cywilizacji powszechnej. Już i dziś nawet wielu pisarzy nazywa ten kraj „Wschodzącego słońca”—Wielką Brytanią wschodu.

Jakkolwiek Japończycy nadają krajowi swemu nazwę Oho-Jasima (ośm wysp wielkich), właściwą jednak Japonję stanowią cztery wyspy największe: Jeso (ziemia barbarzyńców); Hondo i Sikok (cztery prowincje) i Kiusiu (dziewięć okolic); cały zaś archipelag składa tę z 3850 wysp i wysepek i nosi u Japończyków miano Dai Nippon (wielkie wschodzące słońce). Rozciąga się on pomiędzy 30 a 51 stopniem szerokości na 800 milach długości, podczas gdy największa szerokość wyspy głównej ma zaledwie mil 130. Powierzchnia całego kraju wynosi 400.000 kilometrów kwadratowych, których dwie trzecie stanowią góry, tak, że cała Japonja wydaje się jakby utworzona z zatopionych szczytów jednej góry olbrzymiej. Natura gruntu Japonji z powodu różnorodności formacji geologicznych jest bardzo

rozmaita: uboga w okolicach obfitych w granit, bogata w formacji plutonicznej, gdzie szybki rozkład bazaltów, dyorytów i t. p. pokrywa grunt niezmiernie grubym pokładem ziemi żyznej. W ogólności oczy podróżnika uderza tu wielka obfitość wulkanów martwych i czynnych oraz prawie ogólna żyzność ziemi, która bez wielkich wysiłków człowieka daje zbiory wielce obfite. Do zwyczajnych klęsk kraju należą częste trzęsienia ziemi, z których ostatnie w r. 1854. pochłonęło 100.000 ludzi w samej okolicy Jeddo.

Rzek większych niema tu wcale; są tylko przeważnie potoki powstałe ze śniegów i deszczów, które tocząc się w głębi dolin wpadają do morza lub też zostawiają podczas lata suche łoża piasku i żwiru. Mała z nich liczba pomimo odwagi Japończyków da się spożytkować do żeglugi, wszystkie jednak, są spławne i zastępują drogi. Na wielkich płaszczynach, mianowicie w bliskości Jeddo, tego rodzaju potoki szerokie i głębokie, złączone kanałami, co daje łatwą komunikację wokoło całej stolicy.

Wody takie, jak wogóle wody wybrzeży morskich, są bardzo rybne i dostarczają głównego pożywienia mieszkańcom. Wnętrze ziemi japońskiej jest bogate. Granit i kamień wapienny do budowy, obszerne pokłady siarki, ruda złota i srebrna, miedź bardzo czysta, żelazo, ołów, cyna, rtęć, antymon, węgiel, glina porcelanowa i źródła obfite nafty. Niemniej bogata jest flora, a szczególnie obfitość drzewa budulcowego. Pomiedzy roślinami trawiastymi oprócz ryżu, kukurydzy, trzciny cukrowej, zboża, na pierwszym miejscu stoi bambus, który odgrywa tak różnorodną a niezbędną rolę w życiu codziennem, iż zdawałoby się, że Japończyk nie mógłby istnieć bez niego. Za to fauna wogóle dość jest biedna. Ze zwierząt domowych pies jest miejscowy; wół, koń, baran i koza przybyły z Chin. Przed zjawieniem się tu Europejczyków nikt w Japonji o jedzeniu mięsa nie myślał nawet. Największe usługi oddaje Japończykom jedwabnik, dla którego prowincje całe hodują drzewa morwowe.

Granicząc krańcem północnym z okolicami lodowatemi Kamczatki, na południu zaś odległa zaledwie o 10 stopni od zwrotnika Raka, Japonja posiada klimat najrozmaitszy. Gdy w Ohosima i Liukiu zbierają pomarańcze, banany i granaty, na Kuryłach są futra i drzewa Norwegji. Lecz część państwa najbardziej zbliżona ku środkowi i najludniejsza, t. j. od Nagasaki do Jeddo i Nijagaty cieszy się klimatem umiarkowanym. Dwa kolejne wiatry perjodyczne: północno-wschodni i południowo—zachodni, panują każdy przez sześć miesięcy w roku, prowadząc w lecie prądy powietrza ciepłego od równika, zimą zaś prądy zimne od bieguna. Wystawiona tedy wiekuiście na działanie wiatrów doliny Ja-

ponji są zupełnie zdrowe, nie masz tu nigdy żadnych gorączek zjadliwych, ani cholery. Zima i jesień są porami uprzywilejowanymi w tym kraju, lecz z wiosną zaczyna się deszcz uporczywy, trwający nieraz po osiem dni bez przerwy, błogosławiony przez plantatorów ryżu. W lecie termometr utrzymuje się zwykle pomiędzy 28 a 33 stopniem, rzadko dochodząc 36-iu, przeważną jednak cechą klimatu japońskiego jest wilgoć, która Europejczyków naraża na anemie i cierpienia wątroby, krajowców zaś pozbawia tej energii, jakiej nie brak ludom, żyjącym w przyjaźniejszych warunkach klimatycznych.

Japończyk posiada inteligencję; umysł jego mniej podatny do zajęć praktycznych, oddaje się z całym zamięłowaniem nauce i sztukom. Filozof skończony, żyje z dnia na dzień, bez troski o jutro, przeto z lekkim sercem przechodzi najcięższe koleje egzystencji. Jest on żywą przeciwnością Chińczyka który żyje i umiera trawiony nieugaszonem nigdy pragnieniem zysku, Oszczędność, jest Japończykowi nieznana, a nazajutrz po spaleniu się domu, po jakiejś klęsce wiodącej wprost do ruiny, umie z nieśczęścia swego śmiać się i żartować. Ze względu na ową lekkość i wesołość, często podróżnicy mianują ich „Francuzami Wschodu”. „Nie masz nic trwałego na ziemi” — oto zdanie pierwsze, które Japończyk dziecku swemu pamiętać każe. Cierpliwość i spokój podoba im się nadewszystko, unoszą się też bardzo rzadko, twierdząc, że człowiek w gniewie „albo stracił rozum, albo złą sprawę broni”. Działalność gorączkowa jest im nieznana, a doniosłości przysłowia *time is money* nawet zrozumieć nie są w stanie. O tyle są zawsze bierni i powierchowni, o ile gościnni i grzeczni. Szlachta, a zwłaszcza drobna odnosi się do cudzoziemców z pewną dumą, nigdy z pogardą jak Chińczycy. Trzeźwi, w potrzebie zahartowani na trudy, odważni i zdolni do krwi

zimnej nawet wobec śmierci, Japończycy posiadają wyjątkowe przymioty dzielnych żołnierzy i w przekonaniu historyków Japończycy muszą odegrać świetną rolę wojenną, zwłaszcza odkąd przypuścili żywioł ludowy do wojennego rzemiosła.

Poczucie patriotyzmu jest tu wyegzaltowane bardzo wysoko; ojczyzna jest dla Japończyka ziemią, wslawioną legionami przodków, z których najsławniejsi, ubóstwiani pod nazwą Kami — cudy cnót i heroizmu — mają ciągle w swej pieczy losy kraju. Patriotyzm jest u Japończyków rodzajem następstw kultu umarłych, kultu, który nie miał nigdy ateuszów. Japończyk jest podstępny i mściwy, a głównie grzeszy lenistwem, to jego wada kardynalna. W bezczynności i zabawie żyją tak długo, dopóki wszelkich zasobów nie wyczerpią, a zawsze trapi go żądza uciech wszelakich i rozpusty. Żądni wrażeń i ciekawi aż do zbytku, Japończycy rzucają się chętnie na wszelką nowość i radzi są naśladować wszystko, co po raz pierwszy spotykają. Stąd też od najdawniejszych czasów zapożyczali wiele od Chińczyków, później Holendrzy byli ich mistrzami, a obecnie wzorują się już gorączkowo na Europie. Pochodzenie Japończyków jest do dziś dnia jeszcze kwestją sporną; najprawdopodobniejszą wszakże jest hipoteza d-ra Mageta, który twierdzi, że pochodzą oni ze skrzyżowania się tubylców Ainos-lebis, dzisiejszych parjów Japonji, z rasą malajską zdobywców.

Język japoński w ogólnym charakterze swoim pokrewny mongolskiemu i mandżurskiemu, jest pod względem rozwoju swego całkiem pierwotny, pomimo pewnych śladów chińszczyzny. W dzisiejszej jego postaci przejawia się mieszanina żywiołów japońskich z chińskimi, przypominająca ukształtowanie się języka angielskiego, w którym element anglo-saski panuje nad romańskim.

M. H.

W pogoni za szczęściem.

d. c.

Broszura powyższa świadczyła o niezwykłym zapale autora i jego przejęciu się sprawą najżywotniejszą, nie cierpiącą zwłoki; nic też dziwnego, że takie serdeczne nawoływanie do sprawy szlachetnej i wzniosłej znalazło oddźwięk w gorąco bijących sercach naszego społeczeństwa—broszura Jana N. zwróciła ogólną uwagę. Osoby interesujące się akcją społeczną, po przeczytaniu broszury sprowadziły autora tejże do Warszawy. Jakież było zdziwienie, gdy przekonano się, że owym autorem jest szesnastoletni młodzieniec.

Natychmiast zaproponowano Janowi skromną posadę, któraby mogła jako tako zabezpieczyć młodzieńca materialnie, a jednocześnie dać mu możność wywierania dodatniego wpływu na młodzież.

Jan N., jako młodzieniec niewielkich wymagań, z wdzięcznością zaofiarowane mu miejsce przyjął, chcąc poprawić ciężkie swoje materialne warunki; był uszczę-

śliwiony myślą, że Opatrzność nagrodziła jego szlachetne pragnienia.

Skromne wynagrodzenie, które otrzymywał, nie zabezpieczało go od borykań się z losem; nie zrażało to jednak młodzieńca: żądza zdobycia wiedzy zwyciężyła wszelkie trudności; po długiej i mozolnej pracy złożył egzamin i uzyskał maturę, która mu dała prawo wstępu na uniwersytet. Można sobie wyobrazić radość młodzieńca, który wreszcie stanął u szczytu swych marzeń. Mając otwartą już teraz drogę, z całą energią zabrał się Jan do dalszego przeprowadzania swoich planów. Zapisał się tedy na uniwersytet, po ukończeniu którego miał zamiar poświęcić się pracy pedagogicznej. Już w czasie pobytu na uniwersytecie młody N. dawał dowody niepospolitych zdolności kierownictwa młodzieżą.

d. c. n.

Ks. Wł. Skrzyszewski.

ZOFJA BARCZÓWNA.

Przygoda na wyspie Korsyce.

2)

— O, signor Tadeo, nic mu pomódz nie możemy; ostrzeżono go już oddawna, a pan nie ma broni; pan musi także uciekać, bardzo prędko, do ojca, pan cudzoziemiec. Cudzoziemiec zdradził Serafina, o tem wiedzą wszyscy górale; oni tu krążą i gdyby tu pana zobaczyli!—o, niech pan uchodzi!

Tadzio chciał zostać, ale w końcu przekonał się, że Gemmie pomódz nic nie mógł, a ojca naraziłby na niepokój nie powracając zbyt długo. Obejrzał się na jezioro, ale o zgrozo, gdzież się podziała łódź z przewoźnikiem? Daremnie wołał, nikt się nie odzywał; widocznie Włoch przestraszony prześladowaniem górala, powiosłował gdzieś dalej, aby stamtąd dać mu pomoc.

Co zrobić, żeby się dostać na drugi brzeg jeziora? Tadzio sam mniej był tem zaniepokojony od Gemmy; niebezpieczne położenie, w jakim się znalazł, napełniało go pewną utajoną dumą i tętna biły mu silniej. Zanosiło się prawie na jakąś niezwykłą przygodę, a cóż mogło być ponad to milszem dla Tadzia?

— Pan musi wracać—wołała dziewczynka — może przy ostatniej chacie, tam dalej wzdłuż brzegu, jest przywiązana jaka łódź; ludzi tam nie będzie, chata przez lato stoi pusta, ale pan może wziąć łódź i sam się przeprawić. Niech pan spieszy, noc się zbliża, a jezioro staje się niebezpiecznem! Niech pan się wspina wzdłuż brzegu, za pół godziny dosięgnie pan chaty, jest ona ostatnią, Ja muszę tu zostać, padre Angelo gniewałby się, gdyby mnie nie zastał, addio signor Tadeo.

— Addio Gemma carina!

Tadzio puścił się pędem przez uciążliwą drogę, pełną kamieni i krzaków. Kilka razy usłyszał jeszcze dzwieczne addio, które Gemma za nim wysyłała, poczem uciszyło się zupełnie. Zaledwie słychać było brzęczenie chrząszczów i plusk niebieskiej fali o brzeg jeziora.

Ta ogromna cisza dziwnie zaczynała oddziaływać na Tadzia. Jezioro było zupełnie nieruchome, po prawej stronie góry stercza-

ły dziko i wyniosłe, słońce chyliło się ku zachodowi; oto wkrótce nadejdzie noc, a on zupełnie samotny, nie wie, czy znajdzie łódź, któraby go zawiozła do ojca. Ale szybko otrząsnął się z niepokoju i śmiało podążył na przód. Już minął kilka pustych chat, wkrótce ujrzy zapewne ostatnią; rzeczywiście zarysowują się już przed nim jej wazkie, czarniawe kamienne ściany. Tadzio przyspiesza kroku i ze zdziwieniem słyszy wewnątrz jakieś głosy.

— Ludzie! O, to dobrze, teraz przecież jakoś przeprawi się przez jezioro, teraz widzi także już tych ludzi, trzech mężczyzn o wyniosłych postaciach, w czerwonych beretach na głowie, bogato uzbrojonych—to korsykańscy górale.

Tak, Tadzio wie napewno, że to dzicy górale; poznaje to po ich stroju, uzbrojeniu, ich dumnych postaciach i dzielnej postawie. Nareszcie królowie gór!

Pomimo to waha się przez chwilę; wprowadzie są oni piękni i dzielni, ale także niebezpieczni; a jednak czyż nie było jego najgorętszem życzeniem spotkać się z nimi?

Postanawia iść w ich ślady, musi jednak wyszukać jakąś łódź; tam na brzegu widzi czółno, w którym stoi młodzieniec, trzymając wiosła w pogotowiu.

Górale weszli do chaty.

Tadzio zbliżył się szybko do stojącego w czółnie, nieco dziko wyglądającego chłopca.

— Czy możesz mnie przewieść przez jezioro? albo zostaw mi łódź, jeżeli nie możesz, powiosłuję sam.

— Niedaleko by pan zajechał,—zauważył młody Korsykanin z pogardą i spojrzał zuchwale na sztywnie ubranego chłopca.

— Ja jednak muszę się przeprawić.

— Niech się pan zapyta tych, co są w chacie,—odpowiedział uprzejmiej spojrzawszy w świeżą, otwartą twarz Tadzia, — ale lepiej może niech pan tam nie wchodzi.

Tadzio poszedł do chaty, drzwi stały otworem, a trzech górale siedzieli naokoło stołu, pili wino i z żywością rozprawiali.

— Lepiej nie wchodzić, — powiedział

chłopak w czólnie, może górale naradzali się i nie chcieli by im przeszkadzano.

Tadzio niezdecydowany chodził przed chatą.

Ostrzeżenie chłopca, dzikie twarze górali, burzliwa rozmowa przyspieszyła mu bicie serca. Jakże mocno jednak zabiło ono, gdy usłyszał, co tam w chacie, widocznie w przekonaniu, że on języka ich nie rozumie, mówiono. Cała rozmowa toczyła się o nim. Tadzio znieruchomiał z przerażenia: górale zauważyli go oddawna i naradzali się co z nim zrobić.

— Musimy go wziąć z sobą — zauważył jeden z nich, — jakkolwiek jestto jeszcze prawie chłopczyk, może jednak należy do tych cudzoziemców, którzy zdradzili Serafina.

— Dobrze naznaczamy okup za niego kartkę można położyć tu w chacie; krewni będą go tu szukali, niech sobie kartkę przeczytają!

— Tak, — dodał trzeci — okup musi być wysoki, niech nam ten zapłaci za Serafina.

— O, jeszcze nie koniec na tem — odezwał się dziko pierwszy — jeżeli tymczasem wyśledzimy, że jest on rzeczywiście jednym z tych, którzy zdradzili Serafina, to biada mu!

— Vendetta!

— Biada tym, co tu okup przyniosą, wte-

dy i ich będziemy mieli w ręku, w ten sposób najłatwiej ich złapiemy — i za pomśczenie Serafina wychylili kielichy.

W pierwszej chwili Tadzio zeszytniał ze strachu. Jeżeli rzeczywiście zabiorą go ze sobą, jakże będzie się niepokoił biedny jego ojciec! Położenie było okropne!

A jednak coś trzeba było uczynić. Może wejść śmiało do dzikich górali?

Czyż nie miał już ani trochę odwagi, czyż nie był polskim chłopcem?

Jak jakieś światło błysnęła mu myśl: człowiek uczciwy boi się tylko Boga, zresztą nikogo. Jakiś spokój zawitał mu do duszy, a ze spokojem przyszło także zastanowienie; dzielna, zbawienna myśl przebiegła mu przez głowę: czy nie należało wejść odważnie do tych trzech ludzi, zasiąść spokojnie z nimi za stołem, poprosić o napój i w ten sposób odwołać się do ich gościnności? Gościnność była dla nich rzeczą świętą, o tem był przekonany, a w ten sposób mógł może wybawić z tak niebezpiecznego położenia siebie a przede wszystkim ojca, o którego obawiał się bez granic. Jeszcze się chwilę wahał: nie miał żadnej broni, ażeby w razie potrzeby stanąć w swojej obronie — ale nic! Więc tylko śmiało naprzód!

(d. c. n.)

STANISŁAW BEŁZA.

27)

NAD BRZEGAMI BOSNY I NARENTY.

Tomasz umiera nagle zagadkową śmiercią, głos ludu oskarża jego syna, Stefana, o ojcobójstwo, turcy zaczynają kraj płądować, on im odprzedaje jedną ze swoich własnych warowni.

Nareszcie wielkie niesnaski sprowadzają wielką katastrofę, wielka zbrodnia — wielką karę.

Południowa Bośnia staje się łupem Osmanów, pogromca Paleologa podstępnie pod Jajce. Tu była stolica Stefana ojcobójcy, tu zamyka się on, postanawiając się bronić.

Nic nie pomaga.

Za późno.

Co można było zrobić wczoraj, o tem marzyć nie można dziś. Ten, który zburzył mury Konstantynopola, mógł się rozbić o skały bośniackie, gdyby w środku tych skał brat nie podnosił ręki na brata. Ale w warunkach, w jakich do kraju wkroczył, musiał on wpaść w ręce, jak oderwane z drzewa jabłko.

Przychodzi do walnej, decydującej rozprawy. Stefan się broni, lecz bezskutecznie. Bobovac, Jajce, Ključ, wpadają w ręce zwycięzcy, ostatni król niezawisłej



Ludność bośniacka.

Bośni staje się więźniem i ginie. Mahomet tryumfator nie okazuje się względem niego wspaniałomyślnym; skazuje go na śmierć. Zanim się skończył rok pański 1463, Bośnia jako odrębne królestwo przestaje istnieć.

Przypomina mi tę tragedję dziejową głuchym szumem swoich wód ten wodospad pliwński. Zagłusza on swoim hukiem wszystko, nie wspomnienia jednak, które się wobec niego, świadka tego wszystkiego, cisną do duszy. Owszem, wskrzesza je przed oczyma ducha, wielkie dziejowe widma przyobleka napowrót w ciało, głosem niemy, przecież wstrząsającym do głębi, każe im opowiadać nieszczęsną dolę kraju...

Więc opowiadają... jako następnie Jajce wydarte na czas jakiś zostały z rąk tureckich, niestety, przecież nie przez bośniaków i nie dla Bośni; jako węgry, pod Matjasem Korwinem, rozumiejąc wybornie ich strategiczne znaczenie, przez lat szereg wyteżali swoje siły, by nie powróciły one do nich już nigdy; jako wreszcie te ich usiłowania rozbiły się o potęgę państwa, co raz postawiwszy nogę w Europie, przez lat dwie setki rosło niby spadająca z góry lawina alpejska, póki pod murami Wiednia ręka opatrnościowego męża, naszego bohaterskiego króla Sobieskiego, nie powstrzymała go w zaborczym rozwoju. Słyszę to tu wszystko, pomimo ogłuszającego huku tego wodospadu, co rosą rozpryskujących się o kamienie wód zdaje się płakać nad smutną przeszłością.

Słyszę, i żal mi tego wspaniałego, prawdziwie królewskiego miasta, co, odarte z purpury, przez tyle wieków znosiło tyle upokorzeń i urągów, słyszę, i myślę o tem, jak srogimi winny być wyroki dziejowe dla tych, którzy, mogąc je utrzymać w jego królewskości, stracili je prawie dobrowolnie z tronu, na którym błyszczeć powinno było zawsze...

Bo te Jajce, to prawdziwie królewskie miasto.

Opowiadają, że jeden z jego władców, chcąc wznieść na górze zamek dla siebie, po wzór poszedł aż do Neapolu.

Po co do Neapolu?

Bo gdzieindziej nie mógł czegoś odpowiedniego znaleźć, a chciał z Jajc zrobić coś w rodzaju Neapolu. Istotnie zamek stanął, niektórzy twierdzą, że przypomina Castello del Uovo, nad zatoką, na którą rzuca cień swój Wezuwiusz, Jajce przecież Neapolu nie przypominają. Czy tracą przez to? Nie, bo posiadają to, czego nie posiada Neapol, ani żadne miasto w Europie.

Zaznaczyliśmy to już, kiedyśmy koleją dojeżdżali do nich, widzimy to, gdy opuściwszy ten pliwński wodospad, chodzimy po ich ulicach. Na tych ulicach niema wspaniałych gmachów, żaden dom, prócz jednego hotelu, dłużej nie zatrzymuje na sobie oczu, wszędzie lepianki, gdzieś tam klasztor lub minaret, ubóstwo, opuszczenie...

A przecież jest coś królewskiego w tem wszystkim.

Tem *czemś* jest natura.

Potargała ona góry na sztuki, w ich czeluściach powydrażała skaliste koryta dla dwóch rzek, i bajecz-
nem bogactwem wód ubrała krajobraz tak uroczo, że stworzyła coś rzeczywiście niezwykłego.

Więc kiedy przyszedł człowiek i zobaczył to wszystko, oniemiał z podziwu i uczuwszy bezsilność swoją, nie pokusił się nawet na podniesienie napotkanego na swojej drodze piękna. Rzucił więc niedbale na to tło nieco farb, poprzyklepiał do kamienistych zrębów nieco komórek i zrobił rzecz tak malowniczą, że istotnie tylko pędzel przybliżyło pojęcie o niej dać mógłby. Czy to jego jednak zasługa? Nie. Natura pracowała tu za niego i jeśli za co podziękowanie mu się należy, to za to chyba, że nie przeszedł około jej cudów obojętnie.

Ale za to tylko. To, co bowiem dla Jajc sam zrobił, nie może nawet brane być w rachubę.

Pełni uwielbienie przecież dla natury, nie bądźmy niesprawiedliwymi dla niego, policzmy, co tu na rachunek osobistych jego zasług zapisane być może.

Dobrze, policzmy, zanim się jednak do rachunku weźmiemy, uprzedźmy czytelnika, że cyfr w nim nie będzie wiele.

Zamek, wieża Ś-go Łukasza, katakumby, oto pono wszystko; no i ten w dodatku hotel rządowy, dzięki któremu, przebywając w tem mieście, może się zażywać wygod, o jakich nie można było zamarzyć nawet w Trawniku i w Dolnim Wakufie.

Stary zamek królów bośniackich, rzucający się każdemu w oczy, kto się znajdzie na ulicach Jajc, i panujący nad miastem, dziś jest w części jedną wielką ruiną.

Nie był nią jednak, nawet wtedy, gdy głowa ostatniego króla Bośni padła już pod toporem katowskim.

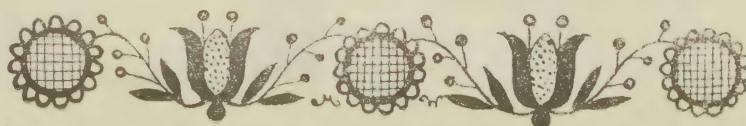
W tym samym roku, w którym Mahometa II-go pułki odbyły tryumfalny wjazd do Jajc, Matjasz Korwin, król węgierski, odebrał go turkom i, pomimo szalonych wysiłków z ich strony, długo nie pozwolił się im do niego dostać. Po jego śmierci turcy wielokrotnie przypuszczali do jego murów szturm po szturmie, zawsze przecież odpierani od nich byli z wielkimi stratami.

A teraz obejrzyjmy się dokoła tej góry ozdobionej ruinami starego zamczyska, bo oto uderza nasze oko nieśmiertelne piękno przyrody.

Patrzmy.

Panujemy nad całym miastem i obejmujemy je całe okiem; patrzmy, bo mamy coś takiego przed oczyma, czemu w tej Bośni jeszcze, słynnej przecież ze swojej malowniczości, nie przyglądaliśmy się, zachwy-
tu pełni.

d. c. n.



O księżycu i porach roku.

Najważniejszym zadaniem przy pogawędkach o fizyce jest: wywołać wobec słuchaczy sztuczne zjawisko tak, aby je należycie zbadać mogli. Do tego potrzeba, aby objaśniający oprócz zręczności i wprawy posiadał przyrząd, któryby się rzeczywiście nadawał do zamierzonego celu, a przytem, aby ten przyrząd składem swoim nie odводził uwagi słuchaczy od tego, co właściwie mają spostrzegać. Są przyrządy, odpowiadające tym obydwom warunkom, ale są także nawet bardzo drogie — do niczego. Do takich należą prawie wszystkie teleskopy. Tymczasem zapomocą bardzo prostych, a wcale niekosztownych przyrządów można — zdaniem naszym — wcale dobrze przedstawić widzom w jaki sposób powstają fazy księżyca, zaćmienia księżyca i pory roku.

W pokoju ciemnym zapala się dużą, wiszącą lampę, która ma przedstawiać słońce. Głowa widza przedstawia ziemię, a jego oko np. prawe, jest naszym miejscem zamieszkania na ziemi. Aby jednak ile możności do rzeczywistości się zbliżyć, potrzebna jest jeszcze jedna uwaga: w pokoju, (który podczas doświadczeń jest mojem niebem) widzę na raz choćby tylko jednym okiem całe niebo, tymczasem w rzeczywistości widzę z całego nieba ledwie małą część. Dlatego trzeba polecić widzom aby podczas doświadczeń nietylko zamknęli oko lewe, ale nadto aby przed okiem prawem trzymali rękę, zwinętą w ciasną rurkę i aby przez tę patrzyli.

Zanim przystąpimy do właściwych doświadczeń trzeba oznaczyć strony świata ze względu na „nasze słońce” tj. lampę. Obserwujący obróci się całą twarzą ku lampie. Strona w którą teraz jest zwrócony, jest południem, ma przeto za sobą północ, po swojej ręce lewej wschód, a po prawej zachód. Położenie tych stron świata trzeba zapamiętać. Jeżeli teraz uzbroiwszy oko swoje w sposób wyżej wskazany, będzie się obracał zwolna na pięcie od zachodu przez południe ku wschodowi, czyli, że jego ziemia będzie się obracała około swej osi tak, jak wiruje ziemia w rzeczywistości, natenczas zrozumie najpierw dokładnie, w której stronie i dlaczego słońce mu wschodzi, a w której zachodzi, i jak powstaje dzień i noc.

Do kółka z grubego, białego papieru, mającego około 5 cm. w średnicy, przykleja się wzdłuż średnicy patyczek, który ma służyć za rączkę do trzymania. Kółko to ma przedstawiać księżyc.

Obserwujący obraca się tak, aby miał lampę poza sobą, a więc przed sobą noc. Uzbroiwszy oko prawe w sposób, wyżej wskazany, ujmuje księżyc za rączkę i ustawia go na równej wysokości z okiem, zwróciwszy jego tarczę ku sobie. Wtedy spostrzeże

każdy, że w tem położeniu widzimy całą tarczę księżyca oświetloną, czyli, że mamy pełnię.

Ponieważ księżyc posuwa się około ziemi i to od zachodu przez południe na wschód, przyczem zawsze tę samą stronę swoją ku nam zwraca, przeto po upływie 7 dni nie zastaniemy go na tem miejscu, w którym się pokazał na pełni, ale w miejscu od tego o 90 stopni oddalonym. Ustawiamy nasz księżyc w oznaczonym miejscu, ale jego środek nieco niżej od naszego oka, ponieważ ekliptyka księżyca jest względem równika ziemi nachylona, a wtedy ujrzymy go w postaci zbliżonej do zgłoski „c”. To ostatnia kwadra. Gdy kto z widzów odsłoni oko, ujrzy cały księżyc, a gdy je przysłoni rurką, tylko jego część, zrozumie więc, że słońce oświetla nie kawałeczek księżyca, ale że nie do wszystkich oświetlonych miejsc może światło dojść do naszego oka.

Jeżeli ustawimy księżyc o 180°, licząc od stanowiska podczas pełni, zrozumie każdy, że teraz mógłby widzieć księżyc tylko w dzień, ale i to niemożliwe, ponieważ po stronie ku nam zwróconej nie jest on oświetlony. Przy takim stanowisku księżyca mamy nów.

W końcu ustawiamy nasz księżyc o 270° od stanowiska podczas pełni, ale tak, aby środek jego znajdował się nieco wyżej niż oko, a pojawi się księżyc w postaci gloski „D” czyli w pierwszej kwadrze.

Podaliśmy sposób przedstawienia księżyca w czterech fazach głównych, ale łatwo zrozumieć, że w ten sposób można przedstawić także fazy pośrednie. Zarazem wyjaśni się, że na drugą noc po pełni nie zastajemy z wieczora księżyca na wczorajszym miejscu i dlatego później on nam wschodzi i t. d.

Rzecz oczywista, że możnaby zacząć od przedstawienia księżyca „na nowiu” a następnie „w pierwszej kwadrze” i t. d. Ten porządek zdawałby się może bardziej wskazany. Tak jednak nie jest. „Nów” jest wtedy, gdy księżyc nie widzimy.

Nów jest więc — jeżeli się tak wyrazić wolno — zaprzeczeniem zjawiska. Zaprzeczyć można to, co przedtem istniało, zatem pierwszej trzeba wskazać fazy inne, a wtedy dopiero można przejść do nowiu. Raczej zgodzićby się można, aby się przedstawienie rozpoczęło od pierwszej kwadry, jednak od pełni dlatego najwygodniej zacząć, ponieważ na pełni najdokładniej można oznaczyć stanowisko nasze i księżyca względem słońca, a oznaczywszy je, naznaczyć stanowisko księżyca podczas innych faz...

d. n.

* * *

M. J.

M. M. SOKOŁOWSKA.

Nic ponad ziemię rodzinną.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

11)

W ogóle ziemia na Maderze jest bardzo urodzajna, oprócz bananów rośnie tutaj trzcina cukrowa, nie wyrabiają przecież z niej cukru tylko sprowadzają go z Europy, a z trzciny pędzą spirytus używany tylko do wina, którego obecnie na Maderze jest bardzo mało, gdyż filoksera (malutki robak) poniszczyła prawie wszystkie winnice. Podobno to wino, co uchodzi u nas za maderę, wyrabiają w Portugalji w mieście Oporto. Oprócz bananów i trzciny cukrowej uprawiają tu bardzo wiele jarzyn i to przez cały rok. Głównie dużo rodzi się tutaj kartofli, pomidorów i groszku. Jarzyny te wysyłają do Europy całymi wagonami. Jeszcze jeden jest tutaj przemysł, który bardzo podobał się paniom, to jakieś hafty na płótnie, wyrabiane w krosnach przez tutejsze kobiety. Są to podobno prześliczne rzeczy, jak mówi mama i pani S: i zachwycają się nimi, ponieważ roboty te są względnie tanie a bezwarunkowo znacznie tańsze jak u nas, więc nakupiły wiele takich serwet, obrusów, kap na łóżka, a nawet sukien dla siebie i na podarki.

No, nie możesz powiedzieć, że mało ci napisałem o Maderze. Postaram się tak samo opisać ci Teneryffę dokąd już wyjeżdżamy jutro, bo mimo całej piękności wyspy i łagodnego klimatu, mamusia jakoś ciągle nie bardzo zdrowa, może dlatego, że tutaj niema wcale równych miejsc do spaceru, a pod górę chodzić nie może. Rozumie się, bardzo mi się uśmiecha ta nowa wycieczka. Dopiero to będę miał wam co opowiadać w pauzie, gdy wrócę do szkoły! Co tylko będę mógł zabiorę z roślin i kwiatów i przywiozę ze sobą, zasadzimy to w naszych ogródkach, a może uda się któremu z nas wyhodować jaką pożyteczną roślinę z Teneryffy na naszym gruncie. Co to za doskonała rzecz byłaby na przykład, żeby tak u nas rosły banany. Wcale nie dlatego, że smaczne, ale że pożyteczne, bo bardzo pożywne, może zastąpiłyby mięso, którego z powodu drożyzny biedni ludzie jedzą bardzo mało.

Mamusia wyuczyła się robienia tych haftów na płótnie i będzie uczyła tego wiejskie dziewczyny, żeby im dać na zimowe miesiące nowy sposób zarobku, my zaś będziemy się zajmowali roślinami, może i nam uda się nasza robota, bo, że mamusia postawi na swoim, tego jestem pewny. No, nareszcie skończyłem list, tylko jeszcze pamiętaj powiedzieć nauczycielom, a głównie panu Wiśniewskiemu, że im się kłaniam, a kole-dzy niech o Stachu pamiętają, który mimo wszystkiego, co tutaj widzi, tęskni do szkoły. Drugi taki sam długi list przyślę ci już z Teneryffy, gdy tam dojedziemy i rozpatrzę się dobrze we wszystkim. A tymczasem bywaj zdrów i odpisz (adres ci przesyłam) kochającemu cię Stachowi.

— Chwała Bogu, że już koniec, zaraz będzie dzwonek — wołali uczniowie.—Dziękujemy panu profesorowi, że pozwolił nam przeczytać ten list w klasie,—dodawali zadowoleni że już mogą rozmawiać, gdyż przez wdzięczność za pozwolenie czytania listu głośno, siedzieli prawie cały czas nadzwyczaj spokojnie, co, powiedzmy w sekrecie, nie było wcale zwyczajem klasy drugiej, nawet podczas lekcji pana Wiśniewskiego, jakkolwiek był ich ulubionym nauczycielem.

* * *

— Nie, moje kochane, doprawdy to już nie do wytrzymania jaka jest ta Kolska niemądra, przewróciło się jej zupełnie w głowie, wyobraźcie sobie, poszła prosić pannę Modestę, żeby ją przesadziła, bo ona nie myśli siedzieć przy Jarskiej, mówi, że to nawet nie wypada, żeby ona, córka obywatela ziemskiego, siedziała na jednej ławce z dziewczyną, której matka bierze szycie do domu i która sama chodzi po bułki do sklepiku i to bez kapelusza, co widziała na własne oczy. Biedna Janka spłakała się bardzo, bo ta niegodziwa dziewczyna nie wstydziła się mówić tego przy niej.

— Że Kolska jest niemądra, to nie nowina, ale znowu nie widzę żadnego powodu, żeby Jarska, słysząc jej brednie, miała płakać,—odparła Stasia Bagiańska swojej przyjaciółce, Zosi Jarskiej z którą już od roku są na pensji. — Alboż ona winna, że jej mamusię nie stać na służącą, albo czyż to jaka zasługa Kolskiej, że jej rodzice mają majątek na wsi a kamienicę w Warszawie? Janka nie powinna zwracać uwagi na takie głupie gadanie.

— Dobrze ci tak mówić, bo nikt tobie, jak jej ta niegodziwa nie wytyka biedy, dlatego samego nie można puścić tej sprawy płazem, musimy ująć się za koleżanką, przecież to taka dobra dziewczynka sto razy lepsza od tej napuszonej Kolskiej do której nie myślę się wcale odzywać dopóki nie przeprosi Janki.

— Ani ja.

— Ani my — wołały inne dziewczynki.

— Wiesz co, Stacha — rzekła Zosia, — kiedy Kolska nie chce siedzieć przy Jarskiej, to obejdzie się bez tego, przecież w naszej ławce jest miejsce po Olesi, co przestała chodzić do nas, więc...

— Doskonała myśl przyszła ci do głowy,—przerwała przyjaciółce Stasia, — już to ty, Zocha, masz świetne pomysły, chodźmy zaraz do panny Modesty poprosić, żeby posadziła przy nas Jankę, już my pewno nie będziemy jej dokuczały.

— To się wie,—odparła Zosia.

— Ale ja przy tobie a potem dopiero Janka, przecież jestem dawniejszą twoją przyjaciółką.

— Rozumie się.

Opiekunka klasy przystała chętnie na propozycję dziewczynki, gdyż jakkolwiek skarciła surowo Kolską i kazała jej siedzieć na dawnym miejscu, myślała jednak w jaki sposób wynagrodzić Jarskiej przykrość, która ją niesłusznie spotkała od zarozumiałej i niedobrej, rozpieszczonej jedynaczki, psutej przez nieodpowiednio dobierane otoczenie, której rodzice, spostrzegłszy niestety zbyt późno wady córki, oddali ją na pensję, spodziewając się, że rozumna opieka i koleżanki wykorzenią wady i wpłyną na zmianę przekonań.

Nie łatwa to jednak była sprawa. Parę już miesięcy Władzia Kolska jest na pensji a nie widać prawie żadnej pod tym względem różnicy. Zarozumiałość i pycha przyczyniają jej nieraz wiele nieprzyjemności, narażając niemądrą dziewczynkę na wymówki przełożonych i docinki koleżanek, które po ostatniem szczególniejszym zajściu z Janką przestały, co prawda, jej docinać, odsunęły się za to od niej zupełnie. Żadna choćby najbardziej czego potrzebowała o nic jej nie poprosi. Omijają Kolską zupełnie, okazując tem większą życzliwość Jarskiej, zasługującą zresztą zupełnie na przyjaźń koleżanek. Nie było zdaje się rzeczy jakiej nie uczyniłyby dla niej, z wyjątkiem chyba tego żeby pogodziły się z Kolską do czego Janka namawiała je bardzo, mówiąc: że już nie ma do niej żadnego żalu. Z początku Kolską zdawała się nie obchodzić obojętność koleżanek, ale ostatecznie uczuła osamotnienie i zaciężał jej ten ostracyzm, gdyż nawet uczennice ze wstępnej klasy—malcy, traktowane do tej pory przez nią bardzo z góry, trzymały się od niej obecnie także zdaleka.

Miała zresztą zawiele fałszywej dumy, żeby ją to nie bolało, Próbowała przejednać swoją klasę łakociami i malowanekami, które zawsze miała w obfitości. Jakież było jednak jej zdziwienie, kiedy wszystkie odmówiły, mimo, że widać było po oczach niektórych młodszych, iż zjadłyby chętnie co z tych przysmaków albo obejrzały malowanki. Opiekunka klasy widziała doskonale, co się dzieje, ale udawała, że tego wcale nie spostrzega, zwracała tylko uwagę, żeby sprawa nie zaszła za daleko, nie wtrącała się jednak do niej, zostawiając dziewczynom zupełną swobodę w załatwieniu tego nieporozumienia. Zdawało jej się zupełnie słusznie iż wtedy Kolska bardziej uczuje niewłaściwość swego z biedniejszą koleżanką, postętku. Zawiadomiła tylko o swem zajściu przełożoną a ta, pochwaliwszy taktykę nauczycielki, poprosiła do siebie matkę Kolskiej (swoją dawną uczennicę) odbyła z nią długą konferencję po której pani K. wyszła z pensji bez widzenia się z córką.

W sobotę jak zwykle na niedzielę poszła Władzia do domu. Rodzice zauważyli, że ich jedynaczka nie jest tak wesoła jak zwykle, dopytywali się o powód tej powagi. Dziewczynka mówiła z początku, że nic nie zaszło, że jest taka jak zwykle, a potem zaczęła prosić, żeby jak dawniej uczyła się w domu albo żeby ostatecznie przenieśli, ją na inną pensję, gdyż na tej ma niedobre koleżanki a zresztą jest między nimi straszna mieszanina, bo nawet znajduje się córka szwaczki.

— I niech sobie mama wyobrazi, posadzili mnie

koło niej, ale poradziłam sobie, siedzi ona teraz gdzieś indziej.

— Czyż ta dziewczyna jest tak źle wychowana, że nie możesz siedzieć przy niej?—zapytała mama.

— No... nie. jest nawet taka grzeczna, jakby pochodziła z lepszego domu, ale ja w każdym razie nie mam przyjemności siedzenia przy córce jakiejś tam szwaczki.

— A to dlaczego? Cóż ci przeszkadza zajęcie jej matki.

— Co prawda to nic, ale przecież nie wypada żeby siedziała przy mnie córka robotnicy.

— Czemu nie, jeżeli, jak sama przyznajesz, jest to dziewczynka grzeczna i dobrze wychowana.

— No tak, ale zawsze milej mieć przy sobie koleżankę bogatą i pięknie ubraną.

— Przecież wszystkie macie jednakowe mundurki.

— Ale nie wszystkie z jednakowego materiału i nie z jednakowymi dodatkami i przybraniami.

— Chociażby nawet. To co ci przyjdzie z tego, że obok ciebie siedzi koleżanka bogato wystrojona, która również ciebie może nie chcieć za sąsiadkę, bo przychodzisz na pensję w wełnianej sukience, a ona w jedwabnej albo aksamitnej.

— Kiedy ja wogóle mam bardzo ładne i pięknie uszyte sukienki, a w jedwabnych ani aksamitnych pewno nie pozwoliłaby pani przełożona przychodzić na pensję.

— Ale gdyby to był jedyny powód dla którego ta koleżanka nie chciałaby siedzieć przy tobie?

— To byłaby bardzo niemądra, bo ja nietylko dla sukienki ale i dlatego, że nie mam żadnej przyjemności siedzieć przy dziewczynce, co ma razem z matką za całe mieszkanie jeden tylko pokój i nawet nie stać ich na sługę i która musi sama z gołą głową latać po bułki do sklepu. Widziałam to na własne oczy bo mieszkają naprzeciwko nas. Ale poradziłam sobie i Jarska już nie siedzi przy mnie.

— Ciekawa jestem jak sobie poradziłaś?

— Bardzo łatwo. Poszłam do panny Modesty i poprosiłam, żeby ją przesadziła, bo wcale sobie nie życzę takiego towarzystwa.

— I cóż opiekunka klasy na to, przystała pewno na twoje żądanie?

— Ale gdzież tam, nie tylko nie przystała, ale jeszcze nagadała mi morałów i kazała Jarskiej zostać na dawnym miejscu.

— Więc ciebie przesadziła?

— I to nie, ale jednak Jarska już nie siedzi w mojej ławce.

— Jakim sposobem?

— Wtenczas kiedy poszłam do panny Modesty żeby przesadziła Jarską, była przy stoliku ta nieznośna Żarska i wysłuchawszy tego, co mówiłam, poleciała na naradę do swojej przyjaciółki Bagiańskiej i jak się naradziły, przyszły prosić żeby Jarska siedziała przy nich na miejscu Dobrzyńskiej, co nawet z początku bardzo mi się podobało.

d. c. n.

K. RYDZEWSKI — Z. PIECHOWSKI.

17)

ZŁOWROGI PRZYBYSZ.

— Wyładować — rozkazał dowódca.

— Wysadzić w powietrze!

— Niech giną!

Parjas rozpoczął działanie. Eksplozja nastąpiła.

Dom prysnął niby z kart. Głosy wzywające ratunku zamilkły. Pył na chwilę oślepił oczy zwycięzców, lecz wnet opadł, odsłaniając ich dzieło.

— Dalej, teraz na bank!

— Hu! hu! — darli się.

Złowrogi zgrzyt rozdarł powietrze.

To bomby.

Kilku parjasów padło bez życia.

— Zapłacimy im za to! — wrzasnął gruby parjas. — Zapłacimy im! Dalej na bank!

Biegli środkiem ulicy. Wszędy porozrzucone były połamane maszyny, szczątki rozniesionych na proch ludzi. Owdzie rozbito chodnik. Wewnętrzne motory działały w połowie, nie zatrzymywane przez nikogo. Jeden z silników zaciął w rękę robotnika który chciał go unieruchomić.

— Zapłacą mi! — syknął.

Pędzono wciąż.

Dalej już nic nie widziano, jedynie gruzy... gruzy... i gruzy, a na nich ciała ludzkie lub popioły. Powstańcy z trudem przedzierali się przez nie.

— A gdzie bank?!

— Niema go! Już zwalony!

— Naprzód! — pnił się parjas.

Szalejący tłum leciał... bez przerwy... bez wytchnienia... mijając trupy, depcząc po szczątkach pałaców. Suche, skwierczące w ogniu piszczące chrzęściały im pod nogami.

— Niech giną! — rozlegało się wycie.

Z przeciwległej strony gnała inna grupa, paląc i mordując. Nozdrza mieli umazane w błocie i krwi, która przymarzła na skostniałych od zimna licach.

Wonieli śmiercią.

Nie spostrzeżono, gdy na obie partje spadł zgrój deszcz aeroplanów. W jednej chwili grad kul z karaczownic położył wszystkich na miejscu.

— Nie żyją? — zapytał człowiek z samolotu.

— Nie!

— Co do jednego?

— Tak!

Latawce pomknęły.

Parjasi zrazu zwycięzcy, poczęli przegrywać na całej linii. Gdy aristosi pojęli niebezpieczeństwo i uzbroili się, wygrana przechyliła się na ich stronę. Armie wyższej rasy dążyły na zachód skąd przybyli napastnicy. Pozostałe punkty ziemskiej stolicy nie były zajęte bojem. Siły Warszawy skupiły się w jednym kierunku.

Zgraje robotnicze musiały ustępować, pozostawiając poza sobą trupy i zgliszcza. Aristosi napierali

coraz mocniej. Przedtem broniący się, teraz już atakowali.

Przy ulicy 104, licząc od północy, walczył Belina. Tam cofały się gromady, ocalałych z pogromu. Szlachetna kasta docierała i do nich, a działania jej były coraz gwałtowniejsze:

— Zginiemy tutaj! — rozbiegło się wśród parjasów. — Tolekko nas zgubił!

Belina podtrzymywał, jak mógł, otuchę. Dodawał nadziei i zachęcał do walki.

Aristosi naciskali wciąż śmieiej. Pierścieniem otoczyli kilkanaście domostw, gdzie skierowali się buntownicy.

Ciągle ginął któryś z tych ostatnich. Szemranie rosło pośród garści żyjących.

— Poddajmy się! — krzyczeli — poddajmy się!

— Nie! — powtarzał Belina, a pierś, jego podnosiła się gorączkowo. — Musimy zwyciężyć!

— Śmierć złoczyńcom!

— Słyszycie? — zawołał przyboczny Beliny — Oni nas oszczędzać nie będą!

— Milcz! Pokonamy! Wygrana będzie przy nas!

— Gdzie Toleko?

— Niema go tu.

— On przeważa los bitwy — krzyknął Belina.

Niewielu, zuchwałych przed niedawnym czasem najeźdźców znajdowało się pośród żywych. Ze stu-tysięcznej przeszło hordy broniła się zaledwie setka.

Przeciwnicy coraz bardziej ścieśniali koło, okrążając budynki, gdzie schronili się parjasi. Co sekunda rozdzierał powietrze krzyk ranionego.

— Śmierć nadchodzi — rzekł ktoś w zwątpieniu.

— Poddajmy się! — ryczeli:

— Nigdy! — odpowiadał Belina.

— Precz zdrajco, zauszniku Tolekki. Poddajmy się!

— Czyż aristosi darują wam... Czyż żyć was będą? Brońmy się lepiej do ostatka. Tolekko nadejdzie w odpowiednim czasie — perorował Belina.

— Gdzie on jest? — huczało, jak dziki potok górski.

— W stosownej chwili zjawi się, — odparł tajemniczo starzec.

To przysporzyło odwagi. Nie narzekano więcej. Ze składów parjasi wytoczyli o elektrycznych pociskach armaty. Oznaczono posterunki. Bitwa rozpoczęła się ze zdwojoną zaciętością.

— Złóżcie broń! — wołał dowódca aristosów.

— Nigdy! — mówili.

Strzały z pistoletów lecytowych padały... Kartaczownice czynne były także...

Nagle gmach zachwiał się. Aristosi wysadzali go.

— Kto żyw, do mnie! Nie ustawać! — krzyczał Belina.

Walczone pośród gruzów. Kilkunastu zaledwie

opierało się przybliżającym coraz bardziej wrogom.

Ci przywiedli pewien ogromny przyrząd naładowany po brzegi baterjami. Umiejętnie odwrócono go. Część przednia znalazła się tuż pod złomami które zakrywały audaces.

— Na ziemię! — ozwała się komenda.

Parjasi pochyłili się...

Ton nienaturalny rozbrzmiał dokoła.

Zygzak ognisty rozświetlił widnokrąg... Kilkanaście piorunów uderzyło... Dwóch leżało zabitych...

Brunatny dym unosił się kłębamii ku górze.

Na rozkaz dowódcy huknęły znowu trzy wystrzały.

Oddychali z trudnością. Oczy zachodziły im mgłą. Krew wystąpiła z uszów i nosów. Oblicza stały się blado-zielone.

— Uciekajcie, uciekajcie! — gromkim głosem rażył Belina. — Aristosi za pomocą prądu wywołali reakcję wśród składników powietrza. Trujące gazy otaczają nas. Oni mają dla siebie aparaty ochronne... uciekajcie! — wołał z rozpaczą, a źrenice wychodziły mu z orbit.

Dusił się.

Parjasi rzucili się do ucieczki. Zastęp nieprzyjaciół natarł na nich zawzięcie. Zamęt, jaki się utworzył, nie pozwalał nic rozróżnić. Wnet przez zwarty szereg aristosów przecisnęło się trzech parjasów z Beliną na czele.

— Chwytać!

Tamci dobywali resztek sił, mdlały im nogi ręce lecz nie zatrzymywali się w biegu.

Nieprzyjaciół przybliżył się znacznie. Znowu runął jeden z towarzyszy.

— Co czynić? — dumał Belina. — Więc Tolece nie powiodło się? Umrzeć przyjdzie. Już nas tylko trzech. Co czynić? — szarpnął brodę z wściekłością...

— Gonić — brzmiał głos nacierających.

Dłonie ich dotykały niemal ramion audaces. Niezadługo będzie po wszystkim.

Ostatni wysiłek, a legną znużeni śmiertelnie i dostaną się w ręce zwycięzców.

— Ścigać! Musimy żywcem dostać Tolekę.

— On tu jest — wołali aristosi.

W tem zaszło coś niespodziewanego.

Gdy aristosi trzymali prawie uciekających, naraz rozległ się syk, a wdali ukazały się roje przybywających.

— Na pomoc! — słychać było wołanie Beliny.

Aristosi przelekli się. Nowe tłumy wypadły z za rogu i uderzyły na nich...

— Do mnie przyjaciele — ozwał się idący na czele.

Poznano Tolekę.

Belina dobywając resztę energii, wypuścił dwa pociski, czyniąc zamieszanie pośród pierzchających aristosów.

Przedartło się!

Armje wyższej rasy w szalonym popłochu rozbiegły się. Reszta zginęła pod naporem hufców. Kanni'ego i jego śmiertcionośnymi aparatami. Radosne wiwaty zagrzmiały na część władcy.

— Naprzód!

Rozgromiono aristosów.

— Wodzu! — zapytał Belina — jakim sposobem zdołałeś przebić się przez te niezliczone szeregi nieprzyjaciół i oswobodzić nas?

— Dokonałem czegoś więcej! — uśmiechnął się Kanni, starzec spojrzał nań z podziwem.

— Machina „U“ jest w moim posiadaniu.

— Czy być może?!

— Nie może, lecz jest! — odparł spokojnie.

— Jakże zdziałałeś ten cud?

— Nic bardziej prostszego. Gdy napadliście zachodnią stronę grodu ludność podążyła, by was odeprzeć. Tam skierowano zbrojnych, a na południu, w części miasta, gdzie mieści się pracownia radioaktywna pozostało ich niewielu. Oczekiwałem tego i bez trudu zdobyłem podziemia, gdzie była zamknięta machina. Dopiero potem poczęły rosnać niebezpieczeństwa. Dyrektorowie wysłali swych stronników po aparat. Chcieli go użyć przeciw nam. Ale niedo-czekanie! Ja stanąłem tam pierwaj i osiągnąłem wygraną.

— Jesteś geniuszem! — rzekł w uwielbieniu Belina.

— Warszawa należy do nas: audaces.

Tymczasem ciżba grasowała po opustoszałych ulicach. Krew lała się potokiem w ciemnościach gdyż powywracano latarnie. Mordowano bez litości. Nawet zagony tatarów przed czternastu wiekami nie sprawiły takiej rzezi, jaką rozkoszowały się zgraje rozsierzdzonych robotników.

Dyrektorowie umknęli z miasta, które przedstawiało obraz rozwalin i pożogi. Zarząd świata przestał istnieć.

Toleko zakazał wreszcie rabunku.

Aristosi rozproszeni. Ci których nie zabito, ukrywali się, iżby ich nie dosięgła mściwa ręka potomków czerwonoskórych indjan.

Z pięknej stolicy nie ostało się nic, jedynie popioły i zgłiszcz...

* * *

d. c. n.





Twoją, *Kotusiu*, odpowiedzią skończyłam zesłotogodniową skrzynkę i twoją zaczynam niniejszą, a czynię to bardzo ochoczo. Widzisz, zdrowszy już brat! Doktorzy prawie pewni są wyzdrowienia. Dzięki więc Bogu!

Dobrześ zrobiła, kochanie, zawiadamiając mnie o radosnej tej nowinie, myślałam bowiem o was i współczułam całemu sercem. Obecnie cieszę się wraz z tobą i z upragnieniem będę oczekiwała wieści o zupełnej już poprawie. Prawda, że podzielim się ze mną swą radością, nie będziesz z nią zwłóczyła?

Pytasz, w jaki sposób okazać Bogu swą wdzięczność. Najlepiej, przez wspomaganie ubogich, przez pocieszanie strapionych, przez dobroć; jednym słowem, *przez miłość bliźniego*. Przez tę miłość, która się okazuje w każdym naszym ruchu, słowie, nietylko w czynie. Bądź dobrą, słodką, uczynną i wyrozumiałą dla każdego bez wyjątku, czy to dorosłego, czy dziecka, czy równego sobie, czy niżej położonego. Bądź gotową każdemu spieszyć z usługą, grzecznością — oto czym najłatwiej możesz w swym wieku okazać wdzięczność Bogu. Niezależnie zaś od tego ofiaruj kwotę pieniężną, którą rozporządzasz na jakiś cel dobroczynny, zwłaszcza na biedne rodziny, spis których znajdziesz w „Dwóch Groszach“, lub „Kurjerze Warszawskim“.

Paproć źle się skierowała. Ja jestem tylko wazszą „Przyjaciółką“, ale nie grafologiem; — charakteru przeto twego, ani usposobienia nie określe, zwrócę się z tem gdzieindziej, zdaniem wszakże mojem, ciekawość to próżna, gdyż grafologiczne oceny najczęściej bywają zawodne, a przytem, sumienie nasze, samokrytyzm i poczucie sprawiedliwości są najlepszymi w tej mierze sędziami. Poznawać przedewszystkiem winniśmy słabe swe strony i braki, aby poprawiać się i doskonalić.

Nie, *Kłosie*, to nie „małorolność“, jak mówisz, temu winna, lecz lenistwo i brak oświaty. Patrzmy na cudzoziemców. Pracowity i wytrwały finlandczyk co rok wyrzywa niewdzięcznej naturze pewną ilość ornego gruntu. Nadludzkiem wprost wysiłkiem wypala lasy, wyjmując z ziemi kamienie, równa skały i w ten sposób przysparza sobie chlebnego terenu. To też, nie posiadając ziemi więcej, od naszego przeciętnego włościanina — ma z niej włościanin finlandzki bez porównania więcej dochodu, dzięki jedynie swej pracowitości i kulturze. W Finlandji wogóle, największe znaczenie ma *człowiek pracy*; przywilej jest niczem, wszystkiem jest tylko osobista zasługa. Każdy obywatel, bogaty, czy ubogi, jednako wysoko nosi głowę.

Oświaty! jaknajwięcej nam potrzeba, a równorzędnie z nią wyrabiania charakterów!

I tobie *Czajko* kochana, mogę coś w tym rodzaju powiedzieć, tembardziej, że tak usilnie prosisz o szczerość bezwzględna. Rozum i wykształcenie to potęgi, bez kwestji. Potęgi te wszakże nie będą jeszcze stanowiły istotnego dobra, jeżeli nie przyłączy się do nich prawy, silny charakter, cenniejszy nad pierwsze przymiot, cenniejszy wogóle nad wszystko.

W sobie przeto, i w dzieciach, któremi przez wakacje się zajmujesz, rozwijaj przedewszystkiem charakter, jego siłę i prawość. Cóż przyjdzie człowiekowi z rozumu i naukowych wiadomości, jeżeli z powodu braku charakteru nie będzie umiał ich użytkować, lub

co gorsza zużytkuje na złe? Będzie to gorsze, niż gdyby wcale ich nie posiadał.

Człowiek bez charakteru nie będzie również posiadał poczucia obywatelskości. Kraj więc, ziomkowie i ludzkość cała pociechy z niego mieć nie mogą. A i sam on częstokroć łamie sobie życie.

Jeszcze więc raz powtarzam: Wyrabionych, prawych charakterów i oświaty nam potrzeba! Kto może, niech przykładą ręki.

Przyjemnie *Alu* spędzasz wakacje i mnie uradowałaś oświadczeniem, że milej ci o wiele w swoim kątku, na szczerzej polskiej wsi, niż pod lazurami Italji, niż w uroczej Szwajcarji, gdzie zeszłoroczne lato spędzałaś.

O, bo wszędzie może być pięknie, wszędzie rozsiane są cuda przyrody, których nasza biedna ziemica nie zna, ale u nas w naszej ukochanej Polsce najlepiej i najpiękniej. A im więcej spotyka się tu łez i niedoli, tem droższą nam ona, tem więcej się pragnie na niej żyć i dla niej pracować. Niedarmo wieszcz nasz wołał:

... Ojczyzno moja! ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten się tylko dowie,
Kto cię stracił...

Upředzenia twe, dziewczeczko, są pod pewnym względem niesłuszne; od nieprzyjaciół również możemy wiele korzystać, przejmując od nich to, co naśladowania godne, co dobre i pożyteczne. Trzeba tylko umieć wyszukiwać dobre strony. W każdym bowiem narodzie, tak, jak w każdym człowieku jest coś dobrego, coś, co należy przejąć i zastosować u siebie. Potrzebna wszakże w tem jest bezstronność i rozsądek, mówiący co może być dla nas pożyteczne, a co szkodliwe. Ty jesteś jeszcze zbyt młodziutka, byś stanowczo mogła odrzucać i potępiać to, o czem wspominasz. Zresztą, „Co kraj, to obyczaj“ — mówi przysłowie. Niejedna rzecz i u nas, cudzoziemcowi mogłaby się wydać śmieszną, niepotrzebną, a jednak jest nam drogą i staramy się tradycje swe zachować. Tymczasem, zaprowadzaj sobie porządki, według własnego upodobania, gromadź wiejskie dzieci na wspólne pogawędki i czytanie, gdyż korzyść z tego może być duża. Załączam ci uściśnieniał a cioci twej wzajemne ukłony.

Safo to nowa i młodziutka korespondentka, a taka już poważna, że powiedziałabym, „za poważna na swój wiek“, gdyby nie była podała mi przyczyn tej przedwczesnej umysłowej dojrzałości. W każdym bądź razie, zanadto tragicznie bierzesz te rzeczy. Takie koleje losu przechodzi wiele dzieci, również wrażliwych i kochających, a jednak godzą się z faktem, nie zatrzymując sobie życia tem, czego zmienić nie mogą. W tym wypadku doli swej ulżyć możesz właśnie przez okazywanie uległości, serdecznej dobroci, posłuszeństwa, ale przynigdy „lodowym chłodem i milczącym oporem“. Zresztą, czyż osoba ta winna twej ciężkiej straty? czy spowodowała twe nieszczęście?... Widzisz, że nie. Czemu więc jesteś niesprawiedliwą i uprzedzoną? Czemu wywołujesz wybuchy jej niezadowolenia, a może i łzy?... O, nie tędy droga do szczęścia i spokoju, biedne dziewczę moje, nie tędy! Nie zasklepiaj się egoistycznie w swym smutku, wejdź w położenie osób cię otaczających, a napewno zmienisz system postępowania. Napewno, za to, co jest przypiszesz winę sobie, i ta, którąś tak kochała, rozraduje się, widząc, że ocknęło się w tobie poczucie sprawiedliwości, zagłuszone przez bolesny cios i prędkie jego następstwa. Całem sercem życzę ci uspokojenia i poprawy smutnej doli.

Stefanja.